

Nie wiedział, czego się spodziewać po drugiej stronie drzwi, ale z pewnością nie tego, co zobaczył.

Znaleźli się nagle w lesie. Ściśle mówiąc w czymś, co kiedyś było lasem.

Teraz wszystko było tu martwe i zwiędłe.

Skarłowaciałe drzewa pozbawione liści ciągnęły się po obu stronach przejścia, Filip i Satina kroczyli jakby pomiędzy szpalerem klęczących postaci, które wyciągały ku niebu tysiące rąk. Ponad drzewami ciężkie chmury przesuwwały się wolno po granatowym niebie. Był zmierzch i cienie stawały się coraz dłuższe. Chłodny wiatr przerzucał z szelestem sterty suchych liści.

Poza tym panowała absolutna cisza.

Żadnych ptaków ani zwierząt, zupełnie nic.

Brak kolorów, brak życia, brak czegokolwiek.

Wszystko było ciemne i pozbawione blasku. Tak smutne, że Filip poczuł, że jego również momentalnie ogarnia apatia. Nic, tylko usiąść i zapłakać.

Dno lasu pokrywała gruba warstwa zeschniętych liści, pośród których ciągnęła się wąska, zwirowa ścieżka. Zaczynała się u wejścia i biegła między uschniętymi nagimi drzewami pochylonymi na wietrze.

Filip spojrzął za siebie. Za otwartymi drzwiami, wciąż falował mrok. Po tej stronie martwy las ciągnął się jak okiem sięgnąć. Korony drzew splatały się ze sobą jak gigantyczna pajęczyna, rozpostarta pod niebem zaciągniętym chmurami.

- Straszne miejsce – rzekła Satina lekko drżącym głosem. – Całkiem wymarłe i... i jakby...

- ...jesienne – dodał chłopiec i potarł ramiona, na których pojawiła się gęsia skórka. Miał na sobie tylko koszulkę z krótkimi rękawami, która nie chroniła przed zimnymi podmuchami wiatru. Trząśł się przemarznięty do szpiku kości.

- Masz – powiedziała dziewczyna, podchodząc blisko i zarzucając mu na ramiona swoją pelerynę. – Wystarczy dla dwojga.

- D-d-dziękuję – wyjąkał, szcękając zębami i skulił się pod peleryną. Trochę pomogło. Mrużąc oczy, spojrzął w niebo. Wyglądało, jakby lada chwila miał lunąć deszcz.

- Słońce już zaszło, lepiej go znajdźmy, zanim zrobi się całkiem ciemno.

Poszli dalej ścieżką. Żwir głośno chrupał pod nogami.

Wkrótce drzewa się przeredziły, a droga doprowadziła ich do niewielkiej doliny otoczonej wzgórzami. Ich żółtawy kolor brał się ze zwiędłej trawy, która je porastała. Półmrok ogarnął całą dolinę.

*Dolina Śmierci*, pomyślał, kierując wzrok ku niewielkiej chacie z pruskiego muru stojącej na samym dnie doliny. W jednym z okien paliło się światło, a z komina wydobywała się cienka smużka dymu porywana na kawałki przez wiatr. *Ale ja się nie boję.*

Ścieżka prowadziła prosto do ogrodowej furtki, z której luszczyla się farba i w głąb ogrodu, równie zniszczonego, jak wszystko inne wokoło. W pobliżu domu, u stóp jednego z pagórków, pasł się koń na trzech nogach.

Filip stanął, by przyjrzeć się nieforemnemu stworzeniu. Koń podniósł jednocześnie łeb i spojrzął na chłopca swoimi krwawymi ślepiami. Potem odrzucił głowę i parsknął, co zabrzmiało prawie jak powitanie, po czym znów skierował całą uwagę na zwiędłą trawę.

- Ten... koń – szepnął Filip i ujął Satinę za ramię. – Ja go już widziałem.

Kiwnęła głową na potwierdzenie, jakby to nie zdziwiło jej ani trochę.

– To koń Mortimera. Nazywają go Koniem Śmierci. Zapowiada rychłą śmierć, gdy się go zobaczy. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale słyszałam, że potrafi mknąć szybko jak wiatr.

- Wydaje się nieprawdopodobne, że on w ogóle jest w stanie się poruszać – dodał Filip. – Wygląda jak trup.

- Nazywają go też Koniem Widmo.

Szybko przemknęli obok wychudzonej, żółtawej karykatury konia i poszli dalej przez ogród w kierunku drzwi. Dom także nie wyglądał imponująco. W wielu miejscach farba odpadała płatami, w murze brakowało cegieł, a strzecha cuchnęła zgnilizną. To był dom widmo.

Filip zapukał.

Z początku rezultat był taki sam, jak kiedy pukali do drzwi do lasu: zero reakcji.

Spojrzał na Satinę, która tylko wzruszyła ramionami. Ponowił pukanie.

Bez odpowiedzi.

- No to zrobiliśmy, co do nas należało – powiedziała z wyraźną ulgą dziewczyna i zaczęła się wycofać. – Pora się stąd zbierać...

- Idę! – zabrzmiał ochryply głos z głębi domu i po chwili usłyszeli brzęczenie kluczy. – Który to klucz? Ten jest do Asgardu, ten do japońskiej krainy Yomi, tyle pamiętam. Może tamten? Nie, też nie, a ten... Chwileczkę! Wypróbował chyba wszystkie klucze, aż wreszcie rozległ się szczeł odryglowywanego zamka. Drzwi stanęły otworem i pojawił się w nich Mortimer.

Był mniejszy, niż chłopiec go zapamiętał. Jeszcze drobniejszy i bardziej kruchy. W jakiś sposób także starszy.

*Nie starszy, pomyślał Filip, ale bardziej zmęczony. Wygląda na zmęczonego.*

Rzadkie włosy Mortimera były w nieładzie, a okulary z połówkami szkieł siedziały trochę krzywo na krogulczym nosie. Pomarszczona twarz była nieogolona i miała kolor popiołu. Miał na sobie koszulę zapiętą pod szyją i spodnie podtrzymywane przez sfatygowane szelki.

Mortimer uśmiechnął się na ich widok, ale był to uśmiech, który nie sięgał nawet pobliza kamiennych, szarych oczu. Oczu, które widziały tyle śmierci, że same stały się martwe.

- Przepraszam, że musieliście czekać – powiedział i stłumił ziewanie. – To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło, musiałem chyba przysnąć, no i te przeklęte klucze... Nie przywykłem do zamykania drzwi i nigdy nie pamiętam, który klucz jest do czego. No, ale do rzeczy – zamilkł na chwilę, a Filip skurczył się pod jego przenikliwym spojrzeniem. Potem szare oczy złagodniały i pojawiło się w nich coś na kształt prawdziwego uśmiechu.

- Nareszcie jesteście, chłopcze – westchnął.

- Nie stójmy tak w drzwiach, bo zimno leci. Wejdźcie do środka – zachęcił Mortimer, usuwając się na bok, żeby mogli przejść dalej. W niewielkiej sieni mieściło się owalne lustro, komoda i wieszak, poza tym nic. Na wieszaku wisiała marynarka w kolorze kurzu, pasująca do spodni, które gospodarz miał na sobie, i czarna jak noc peleryna.

Filip pochuchał w dłonie i zaczął je zacierać. W domu nie było wiele cieplej niż na dworze, ale przynajmniej nie wiał wiatr, a to już coś.

- Mogę wam zaproponować coś do picia, kawę albo herbatę? Oboje przebyliście przecież daleką drogę.

Mortimer zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Odwiesił pęk, który zawierał co najmniej setkę, jeśli nie więcej, kluczy różnych kształtów i rozmiarów, na hak między ubraniami. Były tam klucze wielkie jak noże kuchenne i małe jak zapalniczki, klucze pokryte rdzą oraz lśniące jak nowe. Niektóre bardzo proste, jak do rowerowego zamka, inne

wymyślnie wygięte i pięknie wystylizowane, tak że aż się prosiło, by wziąć je do ręki. Były to pewnie klucze do wszelkich możliwych światów podziemnych, pomyślał Filip i aż mu się zakręciło w głowie, kiedy zdał sobie sprawę, ile ich jest.

Goście poprosili o herbatę, na co Mortimer zaprosił ich do pokoju, a sam zniknął w kuchni.

W pokoju był kominek, w którym gorliwie trzaskały płomienie, ale jakieś dziwne, bo wcale nie dawały ciepła. W pomieszczeniu panowała nadal taka temperatura, jak w normalnej piwnicy zimową porą.

- Jesteśmy w domu Śmierci – szepnęła Satina. – Ciekawe jaką będą mieli minę, jak o tym opowiem w szkole!

- Gdybym ja opowiedział to swoim kolegom od razu trafiłbym na oddział zamknięty – mruknął Filip i rozejrzał się wokół z podziwem.

Prawie całą ścianę zajmował regał z ciemnego drewna. Na jednej półce stała podpórka na fajki i staromodny telefon z tarczą do wykręcania numerów. Resztę wypełniały zakurzone książki. Obok regału, pod oknem, stał mocno zniszczony fotel. Przez szyby widać było zarysy wzgórz i szczyty martwych drzew. Trójnogiego stwora nigdzie nie było, co chłopiec przyjął z dużą ulgą. Wiatr wiał nadal z niezmienną siłą, aż ściany trzeszczały. Robiło to wrażenie, jakby cały dom boleśnie stękał.

Nad nadzartą przez mole kanapą wisiał stary zegar, który nie chodził, a o kominek wsparta była długa, groźnie wyglądająca kosa. W jej błyszczącej klindze odbijały się płomienie kominka. Najbardziej godna uwagi rzecz w całym pomieszczeniu mieściła się na stoliku obok fotela.

Były to szachy, ale nie takie zwyczajne szachy.

Figury nie były normalne, lecz wyrzeźbione na kształt jakichś dziwnych stworzeń, w nieznanym chłopcu materiale. Czarne figury miały kształt rozmaitych potworów, jedne bardziej odrażające od drugich. Był tam smok z siedmioma głowami, wąż z ogromnymi zębami, jakieś monstrum z twarzą szalonego człowieka, korpusem lwa i ogonem skorpiona i wiele, wiele innych. Na ich widok, chłopiec poczuł się trochę nieswojo.

Białe figury były zdecydowanie przyjemniejsze. Jednorożce, sfinksy, rycerz w pełnej zbroi, olbrzym, karzeł, jeź i wreszcie...

Zdumiony Filip ujął ostatnią figurę w palce. Ta wyglądała najmniej dziwnie ze wszystkich, a jednak wyróżniała się już na pierwszy rzut oka. Przedstawiała młodego chłopca – takiego jak on. Chłopiec spoglądał surowo, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie życzy sobie, by ktoś go podnosił.

- Uważaj, nie upuść! – powiedział Mortimer, który właśnie wszedł z tacą, zastawioną trzema szklankami. – To bardzo ważna figura, być może najważniejsza ze wszystkich.

Filip ostrożnie odstawił postać chłopca na miejsce.

- Piękne szachy – rzekł – chociaż trochę niesamowite. Kto wykonał te figury?

- Lucyfer i Jehowa – odparł Mortimer i postawił tacę na stoliku obok szachownicy.

- Jehowa? – Filip popatrzył pytająco na dziewczynę.

- Bóg – odpowiedziała szeptem.

- Grali nimi tylko raz, ale co to była za gra! Ciągnęła się przez wiele dni. Pamiętam, że Lucyfer zaczął narzekać na zimno, więc pożyczyłem mu pelerynę. Trudno się dziwić – przywykł do nieco wyższych temperatur. Skoro o tym mowa... Mortimer oddalił się na chwilę i wrócił z przedpokoju z czarną peleryną, którą podał Filipowi. – Trochę za duża na ciebie, ale na pewno cieplejsza od tej koszuliny, którą masz na sobie. Co prawda śmierć z wyziębienia ci nie grozi, ale lepiej załóż. Ja jej już nie noszę. Ludzie za bardzo się jej bali, a ja mam ich tylko zabierać, a nie straszyć.

Filip przyjął pelerynę z pewnym oporem i owinał się nią wokół ramion. Grube sukno szybko przywróciło ciału właściwą temperaturę. Pachniało kurzem i starością, a także troszeczkę siarką, co – o dziwo – podziałało na niego uspokajająco.

*Anioł śmierci*, pomyślał i uśmiechnął się do tej myśli. Podziękował gospodarzowi za okrycie i usiadł wygodnie.

- Kto wygrał partię? – dopytywała się Satina. – Bóg czy Diabeł?

Mortimer zmarszczył czoło i zadumał się. Po chwili potrząsnął głową.

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam, byłem wtedy bardzo zajęty. Wprawdzie nie brałem udziału w rozgrywce, ale odgrywałem w tym wszystkim... pewną rolę, jeśli można tak powiedzieć. Na jego wargach wykwitł szczególny uśmiech, który nabrał dodatkowej tajemniczości w migocącej poświacie z kominka. Zaraz jednak Mortimer zamrugał i wrócił do rzeczywistości.

- Proszę, herbata dwa razy i kawa dla mnie. Mam nadzieję, że nie używacie cukru ani śmietanki, bo niestety nie mam.

Filip pijał herbatę z cukrem i mlekiem, ale uznał, że nie ma o czym mówić, i przyjął podaną mu szklankę. Upił łyk i o mało go nie wypluł. Herbata była lodowata. Zmusił się jednak, żeby ją przełknąć, widząc wpatzonego w siebie Mortimera.

- Niełatwo cię było tu ściągnąć – odezwał się stary. Zabrzmiało to niemal jak wyrzut. – Próbowałem od samego rana. Była rozlana woda na kafelkach w łazience i kęs przy śniadaniu, którym miałeś się udławić, ale ty nie poślizgnąłeś się w łazience, a zamiast się udławić, po prostu odkaslnąłeś. I tak przez cały dzień. Można było zwariować.

- Bardzo przepraszam – odpowiedział Filip ironicznie, poirytowany tym, że Mortimer siedzi tu i gada o jego śmierci jak o wczorajszej pogodzie. – Następnym razem dam się zamordować przy pierwszej próbie.

Mortimer nie zwrócił uwagi na ironię i ciągnął dalej:

- W końcu musiałem przyznać, że sam sobie z tym nie poradzę i zwróciłem się do Lucyfera z prośbą o pomoc. Jak może pamiętasz, był mi winien przysługę.

- Przysługę? A to niby za co? – obruszył się chłopak. – Zabiłeś nie tego co trzeba!

- Lucyfer chciał mieć następcę i dostarczyłem mu go. Ty nie byłeś może tym wybranym, ale okazało się, że się nadajesz. Widzę też, że nie wszystko, czego cię uczył stary diabeł, doszczętnie zapomniałeś. – Skierował wzrok na dwie wypukłości na czole Filipa. – Sam po ciebie nie wyszedłem. Bałem się, że nie zechcesz pójść ze mną i że wybierzesz schody do Raju. Dlatego właśnie poprosiłem Satinę, by cię powitała. Sądziłem, że ona z łatwością sprowadzi cię na właściwą drogę i okazało się, że miałem rację.

- Wcale go nie sprowadzałam – sprzeciwiła się Satina. – Przyszedł tu z własnej woli.

- Naprawdę? – zdziwił się stary i uniósł brwi. – Wyłącznie z własnej woli? Lucyfer się ucieszy, gdy mu o tym powiem!

- Mówiłeś o przysłudze – wtrącił chłopiec, próbując się nie zaczerwienić.

- W jaki sposób Lucyfer odwdzieczył ci się za „przysługę”?

- Poleciał jednemu ze swoich podwładnych, Wargowi, wywołanie potężnej burzy – brzmiała odpowiedź. – Z pomocą grzmotów i piorunów udało się wreszcie osiągnąć to, czego nie zdołałem uzyskać własnymi siłami. Chociaż nie obyło się bez trudności. Musiałem użyć swojej wysłużonej kosi, żeby podciąć drzewo z jednej strony, tak żeby pień upadł we właściwym kierunku. O mały włos, a sam przyplaciłbym życiem! – zaśmiał się z własnego dowcipu, przy czym chłopcu od tego śmiechu włosy stanęły dęba. To był schrypnięty, suchy i przeraźliwie lodowaty śmiech, rodem ze świata z doliny za oknem. Martwy.

- Ale dlaczego? – spytał. – Po co mnie tu ściągnąłeś? I dlaczego to było dla ciebie takie trudne?

Śmiertelny śmiech urwał się jak nożem uciął.

- Dwa pytania, na które jest tylko jedna odpowiedź – oznajmił Mortimer i odstawił swoją kawę na stół. Widać było, że jego ręka lekko przy tym zadrżała. – Tak się bowiem składa, że udawało ci się unikać śmierci tak długo z tego samego powodu, dla którego cię tutaj ściągnąłem. – Po tych słowach głęboko westchnął i zamknął oczy. Trwało to długą chwilę i chłopiec zaczął nawet podejrzewać, że stary przysnął. Jednak powieki uniosły się i szare oczy spojrzały na Filipa ze smutkiem. – Moja kostka została skradziona!

- Twoja kostka? – powtórzył Filip zaskoczony i powiódł bezwiednie wzrokiem w kierunku piersi Mortimera, gdzie kostka o stu ścianach powinna była wisieć na srebrnym łańcuszku. Jedna z dwóch najważniejszych kostek w świecie. Kostka śmierci. Wielościan, który decydował o długości ludzkiego życia. Łańcuszka nie było, kostki też nie.

- Kiedy to się stało?

- Jakies dwa tygodnie temu. Najpierw myślałem, że się zgubiła, że gdzieś ją odłożyłem. Przeszukałem cały dom, zanim odkryłem, co się naprawdę stało.

- Co takiego? – spytała Satina.

- Odkryłem, że drzwi wejściowe są niedomknięte. Ktoś był w tym domu. Ktoś zakradł się tu i zabrał Kostkę, kiedy ja spałem.

- Czy podejrzewasz, kto to mógł zrobić?

Mortimer potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Musi to jednak być ktoś, kto mnie dobrze zna. Zna moje zwyczaje. Spiam tylko raz do roku. Tylko trzydziestego pierwszego kwietnia, kiedy wiosna na świecie panować zaczyna, Vita uwija się wtedy jak w ukropie i wszystko zaczyna rosnać. Wtedy ja kładę się spać i śpię głęboko. Pamiętasz Vitę, prawda, Filipie?

Chłopiec kiwnął głową, pamiętał Vitę doskonale. Siostra bliźniaczka Mortimera. Spotkał ją tylko raz, kiedy był na dole. To ona przywróciła go do życia. To ona była życiem.

Nagle uświadomił sobie, co go uderzyło w słowach Mortimera, i policzył miesiące na kostkach dłoni. Styczeń, luty, marzec, kwiecień.

W kwietniu wcale nie ma trzydziestu jeden dni.

To z kolei doprowadziło go do zadania kolejnego pytania.

- Powiedziałeś, że kostkę ukradziono dwa tygodnie temu – zauważył – ale kwiecień był prawie pół roku temu.

- Tak, dla ciebie – odparł Mortimer – ale może pamiętasz, że tutaj czas liczy się inaczej.

- Rzeczywiście – zgodził się Filip, trochę zawstydzony, że sam do tego nie doszedł. Przecież przed chwilą właśnie wyliczył, że trzydziesty pierwszy dzień kwietnia nie istnieje. To jasne, że czas tutaj liczy się inaczej. Tutaj wszystko liczy się inaczej.

- To, co się stało, to prawdziwa katastrofa! – głos Mortimera zabrzmiał teraz wręcz żałośnie. Wstał i zaczął krążyć po pokoju, potrząsając przy tym głową. – Dopóki nie mam mojej kostki, każdy noworodek przychodzi na świat nieśmiertelny. Konsekwencje tego mogą być potworne! Nie tylko dla Vity i dla mnie, ale przede wszystkim dla tych nieszczęsnych ludzi, którzy nie będą mogli umrzeć.

- Śmierć to chyba nie jest coś, co im jest najbardziej potrzebne? – wtrącił nieśmiało chłopiec.

Mortimer zatrzymał się w miejscu i popatrzył na niego karcąco.

- I tu się głęboko mylisz! – oznajmił ostrym tonem. - Po prostu nie zdają sobie z tego sprawy.

- Nie rozumiem.

- A Lucyfer mówił, że mądry z ciebie chłopiec! No cóż, z drugiej strony jest przecież ojcem wszelkiego kłamstwa. – Stał przed oknem, patrząc na szybko zapadający mrok nad szarym krajobrazem. – Wielu ludzi powiedziałoby to samo co ty, Filipie. Powiedzieliby, że śmierć to coś strasznego, zło konieczne, bez którego można się doskonale obejść.

- A nie jest tak?

- Nie! – krzyknął Mortimer tak głośno, że Filip i Satina aż się przestraszyli. Jego oczy sypały teraz iskry. Chłopiec nie widział go jeszcze w takim stanie. – Jestem największym postrachem ludzkości, bo nie ma gorszego strachu niż strach przed śmiercią, ale tak być nie powinno! Ludzie nie zdają sobie sprawy, ile mi naprawdę zawdzięczają. Śmierć nie jest nieszczęśliwym zakończeniem życia. Wprost przeciwnie. To śmierć sprawia, że jest ono cokolwiek warte. Cenić można tylko to, co można stracić. Czy nie rozumiesz tego? Gdyby nie było śmierci, życie byłoby pozbawione sensu i nie warte zachodu!

Filip nie całkiem pojmował to, co Mortimer mówi. Chociaż... z drugiej strony może i rozumiał.

To było podobne do tego, czego uczył go Lucyfer. Jeśli nie byłoby zła nie byłoby również dobra. Te rzeczy są od siebie zależne. Czyżby to samo dotyczyło życia i śmierci?

- Mortimer rozłożył ręce.

- Jeśli nie ma śmierci, nie ma też radości życia, życie przestaje być cokolwiek warte. A to wcale nie jest w tym wszystkim najgorsze. Zastanów się, jak świat by wyglądał za jakieś pięćdziesiąt lat? Pomyśl o tych wszystkich nieszczęśliwych, którzy padli ofiarą okropnych wypadków i których serce nadal bije. Ofiary wypadków drogowych, trzęsień ziemi, pożarów, powodzi. To byłoby straszne! Ziemia byłaby zapełniona przez żywe trupy, które pragnęłyby już tylko spokoju śmierci, tyle, że ten spokój stałby się nieosiągalny. Czy potraficie to sobie wyobrazić?

Satina nie odpowiedziała, a Filip tylko przełknął ślinę. Owszem, teraz rozumiał. Mógł sobie wyobrazić te sceny, które opisywał Mortimer. Mdło mu się robiło na samą myśl.

Mortimer mówił dalej, ale Filip słuchał już tylko jednym uchem, zerkał natomiast na Satinę, która wpatrywała się w podłogę. Pewnie czuła się teraz nieswojo i chłopiec doskonale to rozumiał. Diabły są przecież nieśmiertelne, a według Mortimera oznaczało to, że ich żywot jest bez sensu. To z pewnością nie było dla niej przyjemne odkrycie. Chciałby jej coś powiedzieć na pocieszenie, ale nie bardzo wiedział co. *Przykro mi, że nie umrzesz* zabrzmiałoby trochę niezręcznie.

- Kiedy byłeś tutaj ostatnim razem, poradziłeś sobie doskonale z odkryciem tajemnicy śmierci Lucyfera – rzekł Mortimer. – Dlatego sprowadziłem cię ponownie. Chciałbym, żebyś mi pomógł odnaleźć moją Kostkę. Znalezienie jej jest konieczne, co by nie miało kosztować. Musiałem użyć wszystkich swoich sił, by sprowadzić cię tutaj przed czasem. Nie mogłem po prostu jeszcze raz rzucić kostką, żeby ci przydzielić inne lata życia, musiałem podjąć trud, który kosztował mnie bardzo wiele. Nie jestem w stanie tego zrobić dla każdego człowieka, który się urodzi jako nieśmiertelny.

- Co dokładnie się dzieje? – spytał Filip. – kiedy rzucasz swoją Kostką?

- To bardzo trudne pytanie – odparł Mortimer, patrząc mu surowo w oczy. – Nie wiem, czy zrozumiesz odpowiedź?

- Spróbuj!

- Gdy kostka zostaje rzucona, zaczyna się sypać piasek.

Filip spojrział na Satinę, ale ona pokręciła głową na znak, że też nie rozumie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Mortimer podszedł powoli bliżej. Cienie wypełniały zmarszczki na jego twarzy, a oczy stały się prawie niewidoczne.

- Czy ty się boisz? – zapytał, a jego głos zabrzmiał ostro jak trzaskanie płomieni w kominku. – Boisz się śmierci?

W pierwszej chwili chciał kiwnąć głową. Bał się tego odwiecznego starca, który istniał, odkąd powstało pierwsze życie, był świadkiem powstania i upadku cywilizacji, widział tyle straszliwych zdarzeń, że jego oczy zgasły. Dlatego sam się zdziwił, że potrząsa głową, mówiąc:

- Nie, nie boję się. Przecież już umarłem.

Mortimer zastanowił się nad jego odpowiedzią. Po namyśle wykrzywił usta w grymasie uśmiechu.

- Zatem chodź ze mną – rzekł. – Pokażę ci rzeczy, których żaden człowiek jeszcze nie oglądał.